RELACJA LEKARZA ZYGMUNTA WĘCŁAWIKA O WYSIEDLENIU SKIERBIESZOWA

Kończył się mroźny dzień. Nawaliło śniegu. Martwili się dorośli, że opału brak i z odzieżą krucho, że żyta wyprzeją... Nam, odrostkom, było wszystko jedno. A nawet cieszyło, że dużo śniegu, że mroźnie. Czekały nas zimowe rozkosze. Matka, jak zawsze, biadoliła:

— Trzecia już zima taka. Kuropatwy po drugiej wyginęły. Tej — jak widać — i zające nie przetrzymają.

Przypomniały się starej Mokiowej jakieś tam żydowskie przepowiednie: Kiedy zginą kuropatwy, zginą i Żydzi. Kiedy zginą zające, zginą i Polacy.

— Zginęły kuropatwy, zginęli Żydzi, sprawdziło się. Teraz nasza kolej.

Zasmuciła się.

— Wszystko idzie do tego — zrzędziła skaleczała babcia.

— W każdy wieczór prowadzą SS-mani po kilku mężczyzn za cmentarz. Później strzały i koniec. Kiedyś i z nami tak będzie.

Nas, szczeniaków, wojna nie obchodziła. Ciągnęliśmy ciężkie sanie na wierzchołek góry i ze śpiewem jazda w dół. Pot zalewał licho ubrane ciała. Parowały rozgrzane i mokre stopy. Dzieciom jest zawsze wesoło. Dzieci nie lubią smutku. Co tam wojna. Co tam kontyngenty. Tęskniło się trochę za szkołą. Zamknęli. Hotel dla SS-manów był ważniejszy.

Zmierzchało. Zostawiliśmy sanie. Dziewczęta zaczęły się wymykać. Dwie ostatnie wypędziliśmy kulami śniegu.

Okna chałup błyszczały słabym światłem. Za tymi szybami czekały nas ciepłe kolacje. Wróciliśmy z Mańkiem do domu. Połowa ulicy gościła dziś w naszej kuchni. Śmierdziało i gryzło od machorki. Siedzieli zatroskani i smutni. Izba pełna gadaniny. Wysiedlą czy nie wysiedlą? Stary wójt tłumaczył, że to niemożliwe.

— Siedzimy tu z dziada pradziada. Ziemia to jest nasza. Był car, byli Austriacy — odeszli. Zostaliśmy na swoim. Wszyscy gnębili. Przetrwaliśmy. Przetrzymamy i Niemca.

— Przetrzymasz tak, jak i Żydzi przetrzymali — odpowiedział z rezygnacją Skowronek.

— Na pewno wysiedlą — zawodziła moja matka.

— Aby tylko sucharów starczyło.

Ktoś z kąta głośno litował się nad starym Wumiem. Poczciwe to było. Lubili go. Kiedy strzelali Żydów, ukrył się w starej lodowni. Przetrzymał zaledwie trzy dni. Wyszedł głodny i zmarznięty. Poprosił sąsiadów o ćwiartkę. Nie odmówili. Wypił. Powlókł się do żandarmów. Zastrzelili.

Szewera nie mógł się nadziwić, jak stary Prus przytomnie wyprowadził Niemców w pole. Zaskoczyli go, kiedy ćwiartował prosiaka. Nie kolczykowany i bez pozwolenia. Przyłożyli lufę do głowy. „Papery" — ryczał szkop. Prus spokojnie wyciąga okładkę z bibułki. Podaje.

— To ne dobre — znów krzyczy.

— Moja żona mówiła, że to dobre — flegmatycznie tłumaczy Prus.

Niemiec widać w piśmie nietęgi, uwierzył. Zostawił chłopa w spokoju. Ktoś z kolei wygrażał volksdeutschom. Szumowiny, zdrajcy. Własną krwią się podpisali. Najgorsze kanalie i złodzieje. Wyrzekli się swego narodu. Lekkiego chleba im się zachciało. Za końską kiełbasą poszli. Przyjdzie i na nich pora. Zdechną prędzej niż my. I nam uczciwym kiedyś słońce zaświeci.

— Nim słońce zaświeci, rosa oczy wyje — odpowiedział przysłowiem stary Skowronek.

— Nawet mówić o wysiedleniu zakazali. Wczoraj Harlos zagroził kulą w łeb każdemu, kto będzie o tym mówił. Bartosiów parobek rano wywoził graty gospodarza. Wszędy rozpowiadał, jak jego gospodarz ucieka z dobytkiem od wysiedlenia. Niechby kto z Niemców posłyszał. Odjechałby Bartoś prędzej do nieba niż na tę swoją Marcinówkę. Na szczęście Bartoś się w porę zjawił i batem nauczył parobka rozumu.

Rozeszli się do chałup pocieszeni. Niemiec kontyngenty ciągnie, to i nie będzie ich niszczył. Wyssie krew, dużo wystrzela, ale nie wszyscy zginą. Komu co przeznaczone. Większość na pewno zostanie w spokoju.

Brutalne uderzenia w szyby wyrwały nas ze snu. Niusia zapłakała. Na dworze jakiś podejrzany harmider. Ojciec odsunął skobel. Otwarły się drzwi. Weszło dwóch pijanych Niemców. Nie było kiedy płakać. Dali dziesięć minut. W piekielnym tempie pakowaliśmy najpotrzebniejsze rzeczy. W domu skaleczała babcia. Dziesięć lat nie schodziła z łóżka. I do tego dwuletnia Niusia. Tragedia. Jak się z tym wszystkim zabrać? Za dziesięć minut mamy opuścić dom. Błagają rodzice o furmankę. Nie chcą słyszeć. Pomogła „kontyngentówka". Pozwolili założyć konia. Po odwiezieniu nas do punktu zbornego koń miał natychmiast wrócić na swoje miejsce.

Plac zborny urządzono na boisku szkolnym. Nasz gniady wlókł się wolno, jakby rozumiał. Wciśnięto nas w tłum obozujących na mrozie rodzin. Było jeszcze ciemno. Staliśmy się cząstką społeczności skazanej. Za co skazanej? Dlaczego skazanej? Na co skazanej? Tego jeszcze nie wiedzieliśmy. Po godzinie zaczęło świtać. Półtora tysiąca osób stało na śniegu. Czekaliśmy na swoje przeznaczenie. Dookoła kordon SS-mański. Drugi pierścień otaczał osadę. Wreszcie zaczęło się coś dziać. Niemcy sprawdzali listy, czytali nazwiska. W miarę upływu czasu mróz coraz bardziej dawał znać o sobie. Ludzie zabijali dłonie. Stukali butami. Byle się ogrzać. Popłakiwały zmarznięte i głodne dzieci. Dorośli czekali spokojnie. Swoją tragedię chcieli przeżyć z godnością. Niektórzy ukradkiem ocierali łzy. Nie trzeba płakać. Uspokajali się. Przetrzymamy najgorsze. Niech szkopy nie widzą naszych łez. Niech się nie cieszą. Nie zegniemy karku.

Zmarznięci na kość zaczynamy ładować się na furmanki. Byle prędzej w drogę. Byle prędzej. Nie możemy się doczekać odjazdu. SS-manom nie spieszyło się. Z tłumu „wygnańców" wyciągnęli starego Bondyrę. Psychicznie chory włóczęga. Widocznie wydał się Niemcom zabawny. Włosy i broda sięgały pasa. Buty ze słomy. Na grzbiecie płócienne łachy. To wszystko opasane słomianym powrósłem. Postawili biedaka do fotografii. Takie zdjęcia widocznie były potrzebne. Miały one wyobrażać polską kulturę. Miały uzasadniać niemieckie posłannictwo. Widok Bondyry wyraźnie Niemców cieszył. Zeszli się całą kupą. Rudy w okularach fotografował. Bondyra niespokojnie rozglądał się. Swoim zachowaniem i wyglądem przypominał jaskiniowca. Niemcy hałaśliwie śmieli się. Bawili się. Kto rozumiał ich szwargot, na pewno usłyszał niejedną drwinę pod adresem polskiej cywilizacji. Bondyra, choć głupi, to całkiem przytomnie uciekał. Wykorzystał nieuwagę Niemców i drapnął za pierścień straży. Kilku Niemców puściło się w pogoń. Automaty zajazgotały. Stary, choć ranny, zniknął między budynkami i ocalał.

Wreszcie ruszyliśmy w drogę. Na każdej furmance SS-man. Kobiety zaczęły się rozklejać. Dookoła ciche chlipanie. Oczy wszystkich skierowane na

oddalającą się osadę. Zostawili w niej dorobek swojego życia, ojcowiznę, chleb. Jechali na wygnanie, na tułaczkę, w nieznane...

Płakali coraz głośniej. Nagle ogólne zaniepokojenie. Konwój zamiast jechać wprost szosą do Zamościa, skręcił w polną drogę. Jechaliśmy w stronę Huszczki. Później dowiedzieliśmy się, dlaczego. Szosą od Zamościa ciągnął do Skierbieszowa drugi konwój. Jechali niemieccy osadnicy z Besarabii, Węgier, Rumunii, Jugosławii. Jechali zająć jeszcze ciepłe izby. Niemcy woleli uniknąć spotkania.

W pobliżu Zrębia jechaliśmy przez las. Nagle dostrzegliśmy nędzny drewniany barak. Kilkudziesięciu Żydów kopało, a raczej kuło w zamarzniętej ziemi szeroki rów. Kopali dla siebie. Byli zarośnięci, wynędzniali, obojętni. Ludzie-widma. Przestaną żyć, kiedy rów będzie głęboki. Nie spieszyli się, kopali powoli, w zupełnym milczeniu. SS-mani pościelili słomę. Ustawili karabin maszynowy. Kiedy rów będzie gotowy, na tej słomie położy się jeden z nich. Pójdą w ruch taśmy. Scena ta wielu młodych pobudziła do szybkich refleksji. Zaczęły się ucieczki. Otaczał nas las. Niemcy byli pijani. To trochę ułatwiało. Karpińskiej Anielka pod nosem SS-mana machnęła do góry sukienką. Pochyliła się. Odsłoniła majtki. Markowała swoją potrzebę. Biegła do lasu. Niemiec zorientował się. Sięgnął po karabin, za późno. Anielka zniknęła za krzakiem jałowca. Była już na wolności.

Konwój sunął wolno w stronę Zamościa. Na jednej z fur za nami głośno zapłakała kobieta. Zmarło jej dziecko. Raczej zamarzło. Nie każdy noworodek wytrzyma całodzienny pobyt na mrozie. To było jasne. A jednak straszne. Nagły przenikliwy krzyk matki nieszczęśliwej wywołał nastrój trwogi w całym konwoju. To była pierwsza ofiara pacyfikacji.

Dojeżdżaliśmy do Zamościa. Kończył się dzień. Pierwszy dzień tułaczki. Dokąd nas wiozą? — pytali jedni drugich. Na ulicy Powiatowej śmiała ucieczka dwóch młodych chłopców. Przeskoczyli na jadące w przeciwnym kierunku furmanki. Ruch miejski ułatwiał manewr. Ludzie pomogli. Zagadali SS-manów. Wreszcie brama. Wjeżdżamy. Wysadzają nas na placu. Jest już zupełnie ciemno. Cały dzień bez łyżki gorącej zupy. W świetle żarówek oglądamy ponure baraki. Podwójna ściana kolczastego drutu. Wewnątrz kolczaste zwoje. Te same baraki, w których Niemcy wykończyli kilkanaście tysięcy radzieckich jeńców. Jedni odeszli. Przybyli następni. Ciche pochlipywanie kobiet przeszło w zbiorowe zawodzenie. Za nami zamknęła się kolczasta brama. Dla wielu na zawsze. Gruby żandarm wyczytywał nazwiska. Sprawdzał listy. Weszliśmy do baraków biurowych. Piątka. Dwójka. Sprawdzili personalia, założyli kartoteki. Tlenione maszynistki bez przerwy pisały.

SS-mański „lekarz" Riel prowadził badania. Segregował. Dzielił na grupy. Rozebrali mnie do naga. Tylko mnie. Na oczach wszystkich, nawet koleżanek. W czasie poprzedniego badania w szkole skierbieszowskiej ten sam Riel rozebrał do naga tylko mnie jednego z całej osady. Przez kilka dni wstydziłem się wyjść z domu. Dziś to powtórzył. Innych badał z oczu, z twarzy. Co znalazł ciekawego w moim organizmie? Byłem zdrowy. Na jakiej podstawie dzielił nas na grupy? Na jakiej podstawie skazał aż 240 osób do Oświęcimia? 240 osób do pieca z jednej wsi.

Następny lagier oznaczony numerem cztery. Segregacja rodzin. Coś najpodlejszego. Scena rzezi niewiniątek z czasów Nerona, tylko w niemieckim wydaniu. Odbieranie dzieci, a raczej wyrywanie ich z rąk, z objęć matek. Segregację prowadził komendant Grunert, „Kanarkowy". Tlenione ladacznie-

ce pomagały. Szarpały dzieci przylepione do piersi matek, uczepione do ich nóg. Wyrywały. Grunert kopał, popychał, bił. Najrozpaczliwiej broniła swego jedynego dziecka Nowogrodzka. Młoda, sama jak dziecko. Stalowe miała dłonie. Nie pomogło szarpanie. Wrzask SS-mana. Przekleństwa. Mocne kopnięcie „Kanarkowego" i Nowogrodzka z niemowlęciem wpadła na rozpalony żelazny piec. Przewróciła się razem z piecem. Poparzona upadła na podłogę. Dziecko wypadło jej z rąk. Zabrali. „Kanarkowy" dobrze wypełniał swoje posłannictwo.

Po scenie z Nowogrodzką nie mogłem dalej patrzeć i słuchać. Wcisnąłem się w kąt sali, gdzie było najciaśniej. Usiadłem na podłodze. Uszy mocno zatkałem palcami. Wówczas pomyślałem: Czy piekło, jeśli istnieje, może być straszniejsze od tego, co się działo w tej sali? Czy może być coś straszniejszego? Wreszcie kolej na naszą rodzinę. Wyczytali. Przydzielili do ósemki. Był to lagier robotniczy. Przeznaczono nas dla potrzeb Generalnej Guberni. Miejscowa rezerwa siły roboczej. Zostaliśmy razem. Rodzin przydzielonych do ósemki nie rozdzielali. Barak nasz należał do lepszych w obozie. Posiadał drewnianą podłogę, sale, korytarz, oszklone okna, żelazne piece i oczywiście prycze. Z pluskwami, ale zawsze prycze. W porównaniu do szesnastki był to luksus.

Do szesnastki wpakowali dzieci i starców. Każdemu niedołężnemu starcowi przydzielono pod opiekę sześcioro dzieci. Przed naszym przybyciem szesnastka była wielką stajnią dla koni. Nie było tu podłogi, nie było sal, nie było korytarza, nie było prycz. Oto — po prostu — olbrzymia drewniana stodoła z klepiskiem i dużo błota. Zamiast okien okratowane stajenne otwory. Gniazda starej słomy służyły za legowiska, jedyne drzwi, które otwierały się do wnętrza olbrzymiego baraku, były zepsute. Nie zamykały szczelnie stajennego wejścia. Nieduży piec nie mógł ogrzać sali, w której zamieszkało do dwóch tysięcy dzieci i starców. W szesnastce było najzimniej. Dzieci i starcy nie przedstawiali żadnej wartości jako siła robocza. Skazano ich na śmierć w pierwszej kolejności.

Nasz barak miał dwoje drzwi. Z południa i północy. Drzwi południowe otwierały się na wprost szóstki. Tędy się nie chodziło. Dzieliła nas kolczasta ściana. Szóstka była lagrem uprzywilejowanym. Rasa aryjska, wybrani do zniemczenia.

Główne wejście do ósemki prowadziło od trupiarni. Niektórzy początkowo liczyli ofiary. Przeżywali, opłakiwali. Później już nikt się tym nie zajmował. Było ich coraz więcej. Oswoili się. W centralnym miejscu obozu stał ustęp. Jeden dla wszystkich. Nie było podziału na męski i żeński. Nie było przegród. W cementowej posadzce kilkanaście otworów kloacznych. Pod spodem olbrzymi basen. Wspólna sala potrzeb dla wszystkich: dla kobiet, dla mężczyzn i dla dzieci. Początkowo wstydziłem się. Nie mogłem się z tym pogodzić. Trzy godziny czekałem na okazję spędzenia tej chwili bez świadków. Przy liczbie kilkunastu tysięcy ludzi ustęp nigdy nie był wolny. Przełamałem się. Wszedłem. Ośmieliło mnie zachowanie dorosłych, którzy jakoś szybko przyzwyczaili się do tego. Z dziećmi było gorzej. Otwory były duże, oblizgłe, obmarznięte, niebezpieczne. Dzieci z szesnastki przychodziły tu najczęściej same. Rodzice ich byli więzieni w innych lagrach. Na nieszczęście nie trzeba było długo czekać. Trzeciego dnia pobytu utopił się w basenie kloacznym Józio Kozłowski. Pośliznął się i wpadł do otworu. Kilka dni później zginął w basenie następny chłopiec. Próbował przejść do dziesiątki.

Wysiedlanie (1942 r.)

Schutzpolizei w akcji wysiedleńczej (1942 r.)

kota zaniósł do ustępu i cisnął do basenu.

Dziesiątka była lagrem karnym. Izolowano ją od pozostałych baraków. Dzieliła nas pojedyncza sieć drutów kolczastych. Nawet dzieci nie miały prawa chodzić do swoich rodziców. A jednak chodziliśmy. W szybkim czasie uruchomiliśmy dzikie przejście. Dziura w siatce była bardzo nisko, nad ziemią. Trzeba było przesuwać się płasko. Dzieci z szesnastki przemykały się jak szczury. Starszym to wychodziło trudniej. Otwór był mały, zrobiły go dzieci.

Takie wypady do dziesiątki robiliśmy prawie codziennie. Ja biegałem do krewnych. Barak podobny do naszego. Nie najgorszy. Tak jak w naszej ósemce: podłoga, sale, korytarz, prycze. Być może, zależało Niemcom, aby ci ludzie nie domyślali się swego przeznaczenia. Później wycieczki do dziesiątki stały się niebezpieczne. „Ne" i „Kanarkowy" jak koty polowali na swoje ofiary. Obaj z Mańkiem czailiśmy się do przejścia przez dziurę. Wypatrywaliśmy, czy w pobliżu nie ma Niemców. Nagle zobaczyliśmy dwoje dzieci: dziewczynka i chłopiec. Prawdopodobnie rodzeństwo. Dzieci trzymały się za ręce. Szły do siatki, do dzikiej bramy, uśmiechnięte i spokojne. Nie zdawały sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Nachyliły się do otworu. Jak spod ziemi pojawił się Schütz. Chwycił za pochylone głowy, bił głową o głowę, bił tak długo, aż serca dziecięce przestały bić. Po tym wydarzeniu jeszcze raz zaryzykowaliśmy spacer do „karniaka". Zbliżyliśmy się do dziury. Przed nami pochyla się do otworu jakiś mężczyzna. Jak zawsze, nie wiadomo skąd, zjawia się Schütz. Pędził z psem w naszą stronę. Daliśmy susa pod pachą nieznajomego i przelecieliśmy pierwsi przez otwór. Tymczasem nieznajomy miał pecha. Zdenerwowany rozpaczliwą sytuacją, chciał szybko przesunąć się pod siatką. Zaczepił o drut. Został w otworze. Chwilę się szarpał. Nie pomogło, druty były mocniejsze. „Ne" był przy nim. Kopał. Z trwogą oglądaliśmy tę scenę z okna „dziesiątki". Obaj czuliśmy się winni. Po co nas poniosło. Przez nas się zaplątał.

Miejsce na pryczy dostaliśmy dobre. Matka postarała się, aby nam było miękko i ciepło. Sprzątnęliśmy z pryczy pluskwy. Nie pomogło. W szparach zostały. Gryzły dalej. Rano otrzymaliśmy gorzką kawę i dzienną porcję chleba. Obiad był zawsze jednakowy. Brukwiowa zupa i jakieś bliżej nieokreślone dodatki. Dodatki te pochodziły z konfiskaty wysiedlonym. Bardziej wartościowe produkty spożywcze jak: mięso, drób, tłuszcze, SS-mani zabierali do własnej kuchni. Natomiast krupy, groch, soczewica, suchary, szły do naszej, obozowej. Na kocioł dla kilku tysięcy ludzi były to ilości znikome. Brukiew, trochę płynnych mętów — to cały obiad. Na kolację znów gorzka kawa i mikroskopijny kawałek chleba. Do dnia dzisiejszego nienawidzę brukwi. Moi rodzice mieli szczęście. Cały kosz sucharów ocalał. Nie odebrali. Można było poratować i sąsiadów. Rozdawanie posiłków odbywało się u nas w zwykły obozowy sposób. Z kuchni przynoszono kotły. Stawiano na korytarzu. Stawaliśmy do kolejki. Kłóciły się baby o to „gęste". O to, co na „spodzie". Wymyślały kucharce, że źle wymieszała, że po kumotersku rozdaje. I tak było zawsze. Poza tym mieliśmy suchary. Niektórym udało się przemycić trochę mąki. Wystarczyło dolać wody, zmieszać i ugnieść, potem kładło się ciasto na blachę i placki były gotowe. Za pieczenie placków w „dziewiątce" jedną skatowali, ale nowe kobiety piekły dalej. Głód był zawsze silniejszy od strachu.

W pierwszych dniach kobiety piekły przaśniaki, prawie codziennie. Sta-

kota zaniósł do ustępu i cisnął do basenu.

Dziesiątka była lagrem karnym. Izolowano ją od pozostałych baraków. Dzieliła nas pojedyncza sieć drutów kolczastych. Nawet dzieci nie miały prawa chodzić do swoich rodziców. A jednak chodziliśmy. W szybkim czasie uruchomiliśmy dzikie przejście. Dziura w siatce była bardzo nisko, nad ziemią. Trzeba było przesuwać się płasko. Dzieci z szesnastki przemykały się jak szczury. Starszym to wychodziło trudniej. Otwór był mały, zrobiły go dzieci.

Takie wypady do dziesiątki robiliśmy prawie codziennie. Ja biegałem do krewnych. Barak podobny do naszego. Nie najgorszy. Tak jak w naszej ósemce: podłoga, sale, korytarz, prycze. Być może, zależało Niemcom, aby ci ludzie nie domyślali się swego przeznaczenia. Później wycieczki do dziesiątki stały się niebezpieczne. „Ne" i „Kanarkowy" jak koty polowali na swoje ofiary. Obaj z Mańkiem czailiśmy się do przejścia przez dziurę. Wypatrywaliśmy, czy w pobliżu nie ma Niemców. Nagle zobaczyliśmy dwoje dzieci: dziewczynka i chłopiec. Prawdopodobnie rodzeństwo. Dzieci trzymały się za ręce. Szły do siatki, do dzikiej bramy, uśmiechnięte i spokojne. Nie zdawały sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Nachyliły się do otworu. Jak spod ziemi pojawił się Schütz. Chwycił za pochylone głowy, bił głową o głowę, bił tak długo, aż serca dziecięce przestały bić. Po tym wydarzeniu jeszcze raz zaryzykowaliśmy spacer do „karniaka". Zbliżyliśmy się do dziury. Przed nami pochyla się do otworu jakiś mężczyzna. Jak zawsze, nie wiadomo skąd, zjawia się Schütz. Pędził z psem w naszą stronę. Daliśmy susa pod pachą nieznajomego i przelecieliśmy pierwsi przez otwór. Tymczasem nieznajomy miał pecha. Zdenerwowany rozpaczliwą sytuacją, chciał szybko przesunąć się pod siatką. Zaczepił o drut. Został w otworze. Chwilę się szarpał. Nie pomogło, druty były mocniejsze. „Ne" był przy nim. Kopał. Z trwogą oglądaliśmy tę scenę z okna „dziesiątki". Obaj czuliśmy się winni. Po co nas poniosło. Przez nas się zaplątał.

Miejsce na pryczy dostaliśmy dobre. Matka postarała się, aby nam było miękko i ciepło. Sprzątnęliśmy z pryczy pluskwy. Nie pomogło. W szparach zostały. Gryzły dalej. Rano otrzymaliśmy gorzką kawę i dzienną porcję chleba. Obiad był zawsze jednakowy. Brukwiowa zupa i jakieś bliżej nieokreślone dodatki. Dodatki te pochodziły z konfiskaty wysiedlonym. Bardziej wartościowe produkty spożywcze jak: mięso, drób, tłuszcze, SS-mani zabierali do własnej kuchni. Natomiast krupy, groch, soczewica, suchary, szły do naszej, obozowej. Na kocioł dla kilku tysięcy ludzi były to ilości znikome. Brukiew, trochę płynnych mętów — to cały obiad. Na kolację znów gorzka kawa i mikroskopijny kawałek chleba. Do dnia dzisiejszego nienawidzę brukwi. Moi rodzice mieli szczęście. Cały kosz sucharów ocalał. Nie odebrali. Można było poratować i sąsiadów. Rozdawanie posiłków odbywało się u nas w zwykły obozowy sposób. Z kuchni przynoszono kotły. Stawiano na korytarzu. Stawaliśmy do kolejki. Kłóciły się baby o to „gęste". O to, co na „spodzie". Wymyślały kucharce, że źle wymieszała, że po kumotersku rozdaje. I tak było zawsze. Poza tym mieliśmy suchary. Niektórym udało się przemycić trochę mąki. Wystarczyło dolać wody, zmieszać i ugnieść, potem kładło się ciasto na blachę i placki były gotowe. Za pieczenie placków w „dziewiątce" jedną skatowali, ale nowe kobiety piekły dalej. Głód był zawsze silniejszy od strachu.

W pierwszych dniach kobiety piekły przaśniaki, prawie codziennie. Sta-

szczęście. Wrócił wieczorem z rozbitym nosem, ale zadowolony. Szedł od dziewiątki. Na przejściu Schütz jakby czekał na ojca. Za późno uciekać. Zresztą pies i tak byłby szybszy. Ojciec siląc się na spokój grzecznie się ukłonił. „Ne" cynicznie się uśmiechnął. Podszedł bliżej i wyrżnął ojca w twarz. Nagą i otwartą dłonią. Cios był lekki. Nie pastwił się więcej. Pozwolił odejść. Ojciec wystraszony pędził do baraku. Wychodzenie wieczorem do ustępu było także zabronione. Jaroszyńska o tym zapomniała. Wyszła. Nie wróciła sama. Nieprzytomną przyciągnął za włosy Schütz. Zmiażdżona twarz, zmaltretowane ciało — nie przypominało Jaroszyńskiej. Schütz ciągnął za warkocz bezwładne ciało kobiety. Sunął długim korytarzem aż do naszej sali. Cisnął za progiem jak zdechłego psa. Nachylił się i wrzasnął: „Ne, nie wyjdziesz więcej wieczorem". Rzucił na pożegnanie kilka przekleństw i z wściekłością zatrzasnął drzwi. Wyszedł. Wszyscy zajęli się nieszczęśliwą. Obmyli zmasakrowaną twarz. Obłożyli lodem. Nie pomogło. Do rana skonała. Wynieśli. Wyły cały dzień jej dzieci. Wyły kobiety. Mężczyźni uciekali do innych sal. Nie mogli słuchać. Chcieli zapomnieć.

Zaprzęg konny wywoził martwe i zmarznięte ciała. Z każdym dniem umierało coraz więcej. Z jednej szesnastki liczono średnio piętnaście trupów dziennie. Tam byli starcy. Tam były dzieci. Mróz. Nie było okien. Musieli umierać. Skazano ich pierwszych. Chcąc nie chcąc, my z ósemki musieliśmy patrzeć codziennie na tę przykrą ekspedycję. Trupiarnia była przy naszym baraku. Pod nosem. Do transportu zwłok wzięli Bartosiaka. Wykorzystał okazję. Uciekł z konwoju. Cieszyliśmy się. Chociaż jeden na wolności. Opowie innym, co dzieje się tu w lagrach. Opowie, co wyprawia Schütz. Może ktoś kiedyś pomści? Może ktoś, kiedyś napisze o naszej śmierci?

Wśród starszych odżyły z wielką siłą nastroje religijne. Zbiorowe modlitwy, śpiewy i litanie wypełniały wieczory. Schütz mordował. Hitler szedł naprzód. Nie było nadziei. Znikąd pocieszenia. Jedno, co dodawało otuchy, to myśl o wieczności. Stary wójt wyciągnął obraz. Powiesił nad oknem. Zaczęły się religijne śpiewy. Nagle wszyscy ucichli. Za drzwiami szczekanie psa. Znaliśmy to szczekanie. Do sali wchodził Schütz. — Co to za śpiewy? — ryknął. Nikt nie odpowiadał. — Kto powiesił tego s-syna? — wskazał na obraz Chrystusa. Chwila trwogi. Nikt nie odpowiadał. — Kto powiesił? — ryczał „Ne" dalej. Stary wójt wystąpił krok naprzód. — Ja — powiedział mocno i uniósł głowę do góry. Nie prosił o litość. Milczał. Czekał. — Ty stary durniu, katolicka twoja mać — ryknął Schütz. Chwycił mocno za uniesioną brodę i pchnął. Stary wójt poleciał na ścianę. Na tym się skończyło. Być może ta pełna godności postawa starego wójta zrobiła wrażenie nawet na Schützu. Nawet na takim SS-mańskim psie jak „Ne".

Mijały ciężkie dni w obozie. Dni podobne do siebie. Zmieniały się tylko ofiary. Coraz liczniej napływały nowe transporty. Codziennie kilka wiosek. Tak samo jak my, wjeżdżali zapłakani, przerażeni, niepewni jutra. My już byliśmy tu starzy, obojętni, przygotowani na najgorsze. Przyjazd każdego nowego transportu był poprzedzony wizytą SS-mana. Ostrzegał, groził „kulą w łeb" za wyjście z baraku. Przywieźli Udrycze. Wyładowali na placu. Wyjście z baraków zakazane. Nowak spał na pryczy. Nie dosłyszał. Wstał i wybiegł za swoją potrzebą. Ledwie otworzył drzwi... Strzelili. Znów lament, wycie, pisk żony i dzieci. Wszystkim było żal chłopa. Zaczęły się wzajemne wymówki, że nie ostrzegli, że nie przypomnieli. Nikt nie wiedział, gdzie Nowaka niesie. Przed chwilą był SS-man. Ostrzegał. Wszyscy zapomnieli, że spał. Nie zwrócili uwagi. Teraz takie nieszczęście.

Wyjechały pierwsze transporty. Wywozili zdrowych i silnych. Dokąd? — tego nikt nie wiedział. Zazdrościliśmy im. Byliśmy pewni, że wyjeżdżali na lepsze. Tak samo później zazdrościliśmy tym, których wieziono do Oświęcimia. Wyjeżdżają. Coś się dla nich musi zmienić. Schütz zostawał z nami. Dzieci wywożonych zostawały w swojej szesnastce. Dopiero później dowiedzieliśmy się, dokąd szły transporty. Oświęcim był jeszcze dla nas nieznany. Ludzie tracili nadzieję. Łamali się. Chodzili posępni, gotowi na wszystko. Dziesięć dni w obozie, a tyle ofiar, tyle krwi, tyle męczeństwa. Kiedy zmarła nasza babcia, rodzice odetchnęli z ulgą. Niech odpoczywa spokojnie. Bóg się zlitował. Dla niej śmierć była wyzwoleniem. Komu tam łez starczało płakać po starych. Ginęły dzieci. Kłaczana Mańka, jak mogła, dodawała otuchy, umiała wróżyć. A jakże, jak prawdziwa Cyganka. Na wolności żyła z wyrobku i z kart. Wróżyła za darmo. Rozkładała wyświechtane karty każdemu z osobna. Wszyscy jednakowo pytali, czy przeżyją? Kiedy wyjdą na wolność? Co będzie dalej? Kłaczana Mańka miała dla wszystkich dobre karty. Każdemu wróżyła najlepsze. Dla siebie też. Nie przeżyła, ale to stało się później.

Suchary kończyły się. Skończyły się skromne woreczki z mąką i krupami. Skończyły się przaśniaki. Zaczynał się głód. Szalała ostra zima. Silny wiatr zrywał papę, niszczył dachy lichych baraków. Remont dachów należał do ósemki. Do roboty Schütz pędził w nocy. O pierwszej, o drugiej wpadał do baraku, zarządzał apel. Ryczał. Miotał przekleństwa. Popychał. Za pięć minut mężczyźni byli już na dachach. Po trzech przepracowanych nocach dachy zreperowano. O czwartej kolejny apel. Dlaczego? Co się święci? Schütz wpadł wyjątkowo wściekły. Kazał wyjść wszystkim na korytarz. Wyszli. Ustawili się. Czekali. Schütz szedł wzdłuż szeregu. Wypatrywał. Wreszcie zatrzymał się przy Altmajerze. — Ne, jak Altmajer, smaczna była kura? Wiedzieliśmy, kto będzie następną ofiarą. Altmajer pracował w SS-mańskiej kuchni. Miał okazję zwędzić. Schütz chwycił lewą ręką skurczonego człowieka. Wyciągnął z szeregu. Prawą ręką bokserski cios. Altmajer zwalił się na podłogę. Schütz nawet się nie pochyla. Kopie. Altmajer początkowo przytomny, osłania rękoma głowę. W przerwach między kopniakami błaga o litość. Wyje z bólu. Piszczy jak małe dziecko. Schütz kopie dalej. Dziki, zwierzęcy, zapieniony, kopie dziesiątki razy. Altmajer ucichł, ciało wiotczeje, rozluźnia się. Stracił przytomność. Zasapany i zmęczony Schütz zostawia swoją ofiarę. Rzuca parę przekleństw i wychodzi. Dziś będzie dobrze spał. Nasycił się. Altmajer odzyskał przytomność. Żelazo nie człowiek. Inny połowy tego nie wytrzymałby. Wiele następnych dni nie mógł unieść głowy, ale przetrzymał. Doczekał się wolności.

Nastrój w obozie był coraz gorszy. Tyle tylko, że ludzie już nie płakali. Obojętnieli. Mało było pluskiew. Zaczęły się wszy. Po barakach krążyły pogłoski o tyfusie. Ludzie chorowali i marli. Kto może wiedzieć, na co. Nie badani. Nie leczeni. Rodzice kazali dzieciom kurzyć machorkę. Kurzyliśmy. To miało ratować od tyfusu. Nadal przychodziły transporty. Każdy następny był mniej liczny. Wszyscy wiedzieli o pacyfikacji, o obozie. Wiedzieli, co ich czeka. Uciekali. Nie dali się zaskoczyć. Przywieźli Chomęciska, ale już tylko dwie rodziny, tylko dwie starcze pary. Inni uciekli.

Głodującym przyszli z pomocą ludzie. Przyszli z miasta. Przyszli krewni z wiosek nie wysiedlonych. Z narażeniem życia podchodzili do drutów. Nieśli chleb. Rzucali. Wybierali miejsca najsłabiej widoczne z wieży. Początkowo przy dziesiątce, później przy dziewiątce. Jeśli strażnik z wieży zauważył,

posyłał serię, czasem na postrach, a czasem w ludzi. Trzeba się było strzec. Do nas przychodził Staszek. Najstarszy brat. Jeden z rodziny na wolności. Przynosił chleb i to nawet świeży, pachnący. Czekaliśmy w pobliżu kolczastej ściany. Wypatrywaliśmy. Staszek nie mógł czekać, to było zbyt niebezpieczne. Zbliżył się z tobołkiem. Za nim kilka kobiet. Doszli do drutów. Z radością chwytamy zdobycz. Staszek spełnia prośbę kobiet. Jest silny. Rzuca — dla ich rodzin. Kobieta nie dorzuci. Podwójna ściana drutów. Kto rzuci słabiej, chleb wpadnie pomiędzy jedną a drugą ścianę. Trafi w kolczaste kłęby. Nikt go już nie wyciągnie. Będzie stracony. Staszek skończył swoje zadanie. Zbliżył się do siatki. Spokojnie i pewnie oparł nogę na drucie. Przywołał nas do siebie. Przemówił ciepło i beztrosko. Pytał o matkę, o ojca. Śmiał się. Żartował. Przypomniał każdemu jakąś słabostkę. Chciał rozweselić. Zachowywał się tak, jakby wojna nie istniała. Tak, jakby nie było Niemców. Jakby na wieży nie było strażnika, który każdej chwili może nas zastrzelić. W ciągu jednej minuty Staszek przeniósł nas w inny świat. Dał wiarę. Mówił z wielkim przekonaniem: Za kilka dni będziecie na wolności. Trzymajcie się. Pozdrówcie matkę. Pomyślał już o naszym życiu na wolności. Byle wypuścili. Damy sobie radę. Nie zginiemy. — Tak się później stało. Staszek był żywicielem całej rodziny. Myślał o wszystkich. W nocy z karabinem. W dzień do roboty. Zawsze pełen entuzjazmu. Do ostatniej chwili życia. Nie doczekał wolności.

Nowa przykra niespodzianka. Złapali Bartosiaka. Przyszedł do drutów. Niósł dla dzieci chleb. Chciał przerzucić. Od miasta szedł za nim Schütz. Poznał. Pod drutami przyłapał. Teraz apel. Wszyscy na plac. Będą katować. Dla przykładu. Aby nikt więcej nie uciekał. Będzie patrzyła na jego mękę żona. Będą musiały patrzeć jego dzieci. Stoimy na placu. Czekamy. Prowadzą. Nie bardzo podobny do siebie. Spuchnięty. Skatowany. Schütz wyciąga pistolet. Strzela. Nisko w brzuch. Niech się dłużej pomęczy. Bartosiak wali się na śnieg. Twarzą do ziemi. Jeszcze żyje. Skurczył się. Podciągnął kolana. Przeraźliwie zawył. Schütz nachyla się. Cynicznie uśmiechnął się do swojej ofiary: „Ne, ne będziesz już więcej uciekał z obozu". Teraz każą się rozejść. Przy konającym zostaje rodzina. Obok zastrzelonego miota się z bólu jego żona. Ściska głowę. Dzieci obejmują nogi. Całują. Bartosiakowa podnosi się. Klęczy przy zastrzelonym. Krzyczy za odchodzącym Schützem: „Oby cię piekło zabrało, ty podły morderco". — Upada bezsilnie na ciało męża.

Staszek dwoił się, aby nam donieść coś do jedzenia. Dziś przyniósł jabłka. Rzucił. Rozsypały się po lodowatej ziemi. Niewiele uzbieraliśmy dla siebie. Gromada dzieci tylko czekała takiej okazji. Trzeba się było podzielić. Staszek rzucał innym. Kto poprosił. Za długo to wszystko trwało. „Kanarkowy" zwąchał. Biegł z wrzaskiem od stodoły. Zaszedł od tyłu. Podszedł do Staszka. Sięgnął po pistolet. Zamarliśmy ze strachu. Zamachnął się i trzasnął Staszka rękojeścią w twarz. Podszedł do następnej ofiary. Dwa razy kopnął. Uderzył. Staszek nie czekał. Zniknął za stodołą. Odetchnęliśmy z ulgą. Szczęście, że „Kanarkowy", Schütz nie darowałby. Pomimo przygody, Staszek przychodził nadal. Stracił dwa zęby, ale nie stracił entuzjazmu. Po obu stronach drutu gromadzili się ludzie. Nagle popłoch. Ci od zewnątrz zauważyli pierwsi. Od trupiarni pędzi Schütz. Pies był już przy drutach. Ci z zewnątrz uciekli. My nie mieliśmy szans. Zaszedł nas od tyłu. Tym razem na dzieci nie zwrócił uwagi. Wymknęliśmy się. Zatrzymał siedem kobiet. Poprowadził w stronę ustępu. Kazał wyzbierać kopki kału, gęsto rozrzucone przy ustępie. Pierwszy dzień odwilży. Lód jeszcze trzymał. Ciężko gołymi

palcami. Jedna z kobiet próbowała posłużyć się kawałkiem szkła. Kopał po rękach. Nie wolno. Trzeba to wydłubać palcami. Wyzbierały. Zaniosły do ustępu. Ustawił je twarzą do ściany. Trzymał je tak pod ścianą godzinę czasu. Nie wolno się obejrzeć. Cały czas manipulował przy automacie. Trzaskał zamkiem.

Maniukowa nie wytrzymała nerwowo. Obejrzała się. Podszedł do niej. Wyrżnął automatem w tył głowy. Strużka krwi popłynęła po karku. Stała spokojnie, patrzyła w ścianę. Nadbiegły dzieci. Płacz. Lament. Obejrzała się druga. Usłyszała płacz własnego dziecka. Nie opanowała się. Na swoje nieszczęście. Puścił sześć. Każdą na pożegnanie kopnął. Tę jedną zabrał ze sobą. Nie wróciła.

Mijały tygodnie. Transporty wyjeżdżały i przyjeżdżały. W obozie zmieniali się ludzie. Dla nas na razie wszystko po staremu. Aż kiedyś powiało optymizmem. Przyszliśmy do drutów z ojcem. Staszek nie zawiódł. Przyszedł. Odprowadził ojca wzdłuż drutów na odległość i coś długo w skupieniu tłumaczył. Widać było, że się spieszył. Chciał powiedzieć dużo. Ojcu zmieniły się oczy. Chwycił nas za ramiona i prowadził do baraku. Mężczyźni zebrali się przy oknie sali. Ojciec w środku gromadki. Twarze rozpromienione, wszyscy podnieceni. Mieli o czym mówić. Partyzanci polscy chwycili za broń. Ruszyli do walki. Za wysiedlenie, za pacyfikacje, za tułaczkę, głód i mord. Bataliony Chłopskie poszły do boju. Nareszcie zaczęło się. Pod Wojdą i Zaborecznem zwyciężyli. Zwyciężą i później.

RELACJA JANINY RÓŻAŃSKIEJ, SPISANA PRZEZ ALFREDA PRZYBYSZA, O PACYFIKACJI JEDNEJ ZE WSI W POBLIŻU WSI BORSUK, POWIAT HRUBIESZÓW [1]

Było to zimą. Z mrocznej ziemianki na otwartym polu zauważyłam cienie sylwetek ludzkich. Cienie te kręciły się przed naszym schronem. Trudno jednak było dostrzec i poznać, co to są za ludzie.

W naszej piwnicy było bardzo ciemno. Siedziałam na cuchnącej słomie ze swymi małymi dziećmi, 5-letnim Tadeuszem i 6-letnią Tereską. Obok mnie siedziały i drzemały moje sąsiadki. W pewnym momencie usłyszałam kilka strzałów, dolatujących z pola. Strzały przypominały mi ubiegłą noc. Noc, podczas której zginęło tyle naszych ludzi ze wsi. Naszych braci, synów i mężów wyłapano jak zwierzęta. Ze stu osób schwytanych nikt nie wrócił. Zabrano mi męża, zabrano wszystkich mężczyzn naszej rozrzuconej na pagórku kolonii. Oskarżono ich o tworzenie partyzantki, żywienie Żydów i jeńców radzieckich, którzy zbiegli w lasy.

Strzały powtórzyły się znowu. Strzelanina obudziła wszystkich w naszej lepiance. Od strony starej stodoły szczęknęła seria z maszynowego karabinu. Ogień słychać było tylko już z obu stron.

Znikły już sylwetki cieni w mroku. Tak — byli to nasi chłopcy, którzy uciekli podczas łapanki wspomnianej nocy, a teraz mścili śmierć swoich ojców.

[1] Niestety, nie udało się ustalić nazwy wsi. Najprawdopodobniej chodzi tu o kolonię Ameryka, gmina Mircze, powiat Hrubieszów.